

# NA NIEDZIELE

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co tydzień.

Nr. 20.

Bydgoszcz, niedziela 16 maja 1900.

Rok II.

## Na niedzielę piątą po Wielkiejnocy.

### Lekcja.

Jak. I. 12-27.

Najmilsi, bądźcie czynicielami słowa, a nie słuchaczami tylko, oszukiwającymi samych siebie; bo jeśli kto jest słuchaczem słowa, a nie czynicielem, ten podobny będzie mężowi przypatrującemu się obliczu narodzięcia swego w zwierciadle. Bo się obejrzał, i odszedł, i wnet zapomniał, jakowy był. Lecz ktoby pilnie wejrzał w zakon doskonałej wolności i wytrwał w nim, nie stawszy się słuchaczem zapamiętliwym, ale czynicielem uczynku, ten błogosławiony będzie w sprawie swojej. A jeśli kto mniema, że jest nabożnym, powściągając języka swego, ale zawodząc serce swe, tego nabożeństwo jest próżne. Nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga i Ojca, to jest: nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich, a siebie zachować niezmazanym od tego świata.

### Ewangelia.

Jan XVI. 23-30.

W on czas mówił Jezus Uczniom swoim: Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię moje, da wam. Dotychczas nie żęście nie prosili w imię moje. Proście a weźmiecie, aby radość wasza była pełna. Tom wam powiedział przez przypowieści. Przychodzi godzina, gdy już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam. W on dzień w imię moje prosić będziecie; i nie mówię wam, iż ja będę Ojca prosił za wami; albowiem sam Ojciec miłuje was, żęście wy mnie umiłowali i uwierzyliście, żem ja od Boga wyszedł. Wyszędłem od Ojca, a przyszedłem na świat; zaś opuszczam świat, a idę do Ojca. Rzekli mu Uczniowie jego: Oto teraz jawnie mówisz, a żadnej przypowieści nie powiadasz. Teraz wiemy, że wszystko wiesz, a nie potrzebać, żeby cię kto pytał. Dlatego wierzymy, żeś od Boga wyszedł.

## Nauka.

Wielka i święta to obietnica w dzisiejszej Ewangelii św.: jeśli o co prosić będziecie Ojca w Imię moje, da wam. Ale cóż z tego, kiedy

mało kto ją rozumie jak należy, a mniej jeszcze jest takich, coby z niej korzystali należycie. Starajmyż się najprzód zrozumieć, co to znaczy prosić, a następnie co to jest prosić w Imię Pana Jezusa.

Ktokolwiek prosi naprawdę, a nie pozornie, dla ceremonii tylko, ten koniecznie nie tylko 1) pragnie, i to gorąco pragnie tego, o co prosi i 2) czuje, że o własnych siłach, bez obcej pomocy albo wcale nie, albo przynajmniej z trudnością tylko otrzymać to może, ale też 3) ma zaufanie do tego, kogo prosi, że ten, i może, i chce mu dopomódz, i rzeczywiście też dopomóże. Te są najistotniejsze warunki każdej prośby, a więc i modlitwy, o ile ona jest prośbą. Zastanówże się, czy modlitwy twoje bywają prawdziwie prośbami?

Powinniśmy szczerze pragnąć tego, o co prosimy. Tyle razy już powtarzałeś w pacierzu: święć się imię Twoje, ale czyż pragniesz tego naprawdę? czy dbasz o to choć trochę, żeby ludzie o Panu Bogu więcej i coraz więcej wiedzieli i coraz więcej Go sobie cenili? ty, co sam w tej mierze nic nie postępujesz, albo ty, który tak bardzo dbasz o to, żeby ludzie mieli o twojej przedewszystkiem osobie zaszczytne, o ile możliwości, pojęcie? Tyleś razy powtarzał już: bądź wola Twoja; ale czy ty rzeczywiście tego pragniesz, żeby z tobą i przez ciebie działo się wszystko przedewszystkiem tak, jak to się Panu Bogu podoba? ty co poczytujesz za szczyt szczęścia to, żeby ci się wszystko udawało według myśli i upodobania twojego? Jedynie gdy chodzi o rzeczy doczesne, jak np. o zdrowie dla siebie i swoich, o szczęśliwe pokierowanie jakiego ważnego interesu, o uchronienie się od jakiej straty lub niebezpieczeństwa — w takich wypadkach nie tylko gorąco, ale nawet gorączkowo pragniemy tego, o co prosimy. W takich też wypadkach doskonale rozumiemy, że potrzeba i z swojej strony robić co można, jeżeli prośba nasza ma być skuteczną. Obyśmy i w innych rzeczach, mianowicie duchownych, np. kiedy chodzi o pozbycie się jakiego grzesznego nałogu, o nabycie jakiej cnoty lub o odprawienie dobrej spowiedzi, chcieli tak samo jak w rzeczach doczesnych zrozumieć, że święta jest prawda, co mówi przysłowie: niech każdy robi, co może, a Bóg mu dopomóże, a inne przysłowie: módl się a pracuj. Sw. Ignacy myśl zawartą w tych przysłowiach w ten sposób wyraża: Tak rób, cokolwiek w twojej jest mocy,

jakbyś był przekonany, że wyłącznie od ciebie zależy otrzymanie tego, czego pragniesz — ale też tak się módl, jak się modli ten, który wie i wierzy, że jego zabiegi nie, zaś łaska Boża wszystko znaczy.

## Nawrócony nieznaczną okolicznością.

Kiedy pierwszy śnieg spadnie, wielka to radość dla dzieci, mianowicie chłopców, pomiędzy którymi odbywają się wtenczas ćwiczenia śnieżnej artylerji. Tak też było w pewnym miasteczku Szkocyi, kraju przeważnie protestanckim; tam młodzież szkólna w najlepsze rzucała się śniegiem na rynku miasta, gdy tamtędy przechodził kapłan katolicki, chcący odwiedzić chorobą złożonego parafiana i pocieszyć go w cierpieniu. Był on w sutannie i książkę miał w ręku.

Ujrawszy go chłopcy, poczęli obrzucać go śniegiem; ze wszystkich stron posypały się twardo zbite kule śniegu na spokojnie idącego kapłana, który ani się nie obejrzał na napastników, ale idąc modlił się w duszy za tych młodych, a zaciętych nieprzyjaciół wiary katolickiej. Pewien kupiec protestancki patrzył oknem i był świadkiem całego zajścia.

Po kilku miesiącach, gdy już wiosna uśmiechała się ziemi, a kapłan już dawno zapomniał był o tem, co się w początku zimy zdarzyło, wezwano go do chorej służącej katolicki. W rynku wszedł ów kapłan do składu i zapytał właściciela:

— Mój panie, nie mógłbyś mi pan powiedzieć, czy tu w domu nie mieszka służąca, katolicka?

— Czego pan od niej żadasz?

— Chciałbym z nią pomówić, — odrzekł kapłan, — podobno jest chorą i chciałaby przyjąć Sakramenta św.

— W moim domu, — odpowiedział kupiec — nie mieszka taka służąca; ale ja sam mam ważny interes i chciałbym, abyśmy ze sobą na osobności pomówili. Proszę do mego pomieszkania.

Kapłan poszedł i obaj zajęli miejsca,

— Przypominasz sobie ksiądz, — zapytał kupiec, — tę chwilę w początku zimy, gdy ksiądz na rynku śniegiem obrzucali?

— Coś sobie przypominam, — odpowiedział kapłan, — ale nigdy o tem nie myślałem, przebaczyłem.

— Zapomniałeś, księżo, ale ja nie zapomniałem, — rzekł kupiec. — Nie chciało mi to wyjść z pamięci i wciąż zadawałem sobie to pytanie, czemu wysmiewają i prześladują księży katolickich a nie naszych duchownych? Czemu prześladowany kapłan katolicki taki spokojny i cichy? Długo się nadtem zastanawiałem i pouczyłem się, gdzie tylko mogłem, o kościele katolickim, i jego zasadach. Postarałem się o książki i z nich czerpałem naukę. Niezadługo począłem modlić się o światło wiary i prawdy, i teraz jestem gotów zostać katolikiem. Zeheciej przeto, księżo, przyjąć

mię na łono Kościoła swego, bo ten Kościół, który od samego początku istnienia swego na wzór swego Boskiego Mistrza bezustannie jest prześladowanym, może jedynie tylko być prawdziwym.

Kapłan rozpoczął naukę katechizmu katolickiego i niezadługo potem przyjął owego kupca uroczyście na łono Kościoła katolickiego

Dziwne są drogi Opatrzności. Najnieznaczniejszej okoliczności, drobnego, nieprzyjemnego zajścia używa Pan Bóg do wielkich celów. W tym przypadku niesforność chłopaków ulicznych i spokój wyszydzanego kapłana, sprawiły, że Kościół pozyskał wiernego syna, że dla jednej pogrążonej w błędzie duszy szlachetnej zabłysło światło prawdy Bożej.

## Jakie życie, taka śmierć.

W pewnej bogatej wsi południowych Niemiec był zamożny gościnny, a że to był człowiek wesoły, żartobliwy i dowcipny, przeto chętnie do niego zdążali goście ze wsi i okolicy, mianowicie że kuchnia jego była dobra, a piwnica znakomita. Był on jak powiedzieliśmy, bardzo zamożny, dzieci nie miał, dla tego mógł żyć, jak mu się podobało. Pracować nie lubił, na to miał sługi. Do kościoła nie uczęszczał nigdy, na to zdaniem jego było dosyć głupców na świecie. Ale dobrze zjeść i dobrze wypić, było najmilszem jego zatrudnieniem, a w ostatniej czynności doprowadził nawet do mistrzostwa.

— Co mi po kościele, co mi po modlitwie? — zapytał razu pewnego, gdy mu czyniono wymówki; — dóbr doczesnych mam podostatkiem, a dóbr wiecznych nie potrzebuje, bo ze śmiercią wszystko się kończy.

— Ej, nie bluźnijcie! — odezwał się pewien obywatel, — boby was Pan Bóg mógł ukarać i to właśnie na waszym majątku, w który tyle ufacie!

— Na majątku wealeby mnie Bóg ukarać nie mógł, chociażby chciał! — zawołał gospodarz wśród śmiechu. — Role i łąki z wiatrem mi nie uleca, a budynki, bydło i sprzęty tak wysoko są zabezpieczone, że chociażby się spaliły, grosza bym nie stracił. Kapitały mam zabezpieczone na pewnych hipotekach. Widzicie więc, że mogę być spokojnym i o gniew naszego Boga curbować się nie potrzebuje.

— Hm, hm! zauważył sąsiad, przerażony, taką niewiarą i zuchwałością, zaraz też zapłacił, co zjadł wypił i poszedł, ale już nie zajrzał do tej gospody, gdzie taki mieszkał bluźnierca.

Innym razem izba gościnna pełna była gości, gdy wszedł ubogi żebrak i prosił o kawałek chleba i jaką resztkę z obiadu. Gospodarz kazał mu wnieść do izby, na nieobsadzony stół przy piecu kazał wystawić wszystkie zapasy kuchni, pomiędzy którymi niejedną był przysmaczek, i zapytał głodnego z dobrodusznym uśmiechem:

— Co wolisz, czy kawałek kurczenia na zimno, czy też kawałek zajęcia? Wybierz sobie coś z tego, na co najlepszy masz apetyt.

Biedak posiadał dawniej własne gospodarstwo i kawałek polowania i niejednego zającą już zjadł w swoim życiu, ale wskutek poręczenia za drugich i rozmaitych nieszczęść doszedł do kija żebraczego. Slinka mu do ust szła, gdy ujrzał smaczną zwierzynę. Rumieniec pokrył wybladłe policzki, a oczy zapłonęły ogniem.

— Jeżeli mi pan pozwala wybierać, tobym prosił o kawałeczek zająca! — rzekł z cicha.

— Spodziewałem się tego, że nie wybierzesz najgorszego! Tak, gdyby to żebraków zającą pieczęcią częstowano, toby się oplaciło żebrac, co? — krzyknął gospodarz. Jeno się postaraj abyś znowu przyszedł do swego gospodarstwa, gdzie zwierzyny jest podostatkiem, to tak smacznie będziesz sobie mógł zająć, jak ja teraz.

To powiedziawszy usiadł i począł zająć comber zajączy, patrząc tryumfująco na gości, którym, jak sądził, zabawną wyprawil scenę.

Tymczasem ku wielkiemu jego zdziwieniu nikt z gości się nie śmiał. Zgłodniały biedak bolesnym wzrokiem spojrzal na gospodarza, zajądającego pieczeń z widocznym zadowoleniem, rzekł głośnym ale drżącym głosem: „Panie Boże zapłać!“ i chwiejnym krokiem wyszedł z izby.

Kilku z gości podążyło za nim, aby mu dać jałmużnę. Inni wyrazili oburzenie swoje na tego złośliwego nielitościwego gospodarza w taki dosadni sposób, że czempredziej z półmiskami schronić się musiał do kuchni, nie chcąc, aby kufel jaki w bliższą styczność wszedł z jego głową.

Z obecnych gości żaden już odtąd do tej gospody nie wstąpił, a w miarę tego, jak zła sława bluźniercy zaczęła się rozszerzać, gospoda jego coraz więcej traciła gości. Żarty i dowcipy gospodarza już nie miały dla wesolych gości powabu, bo zły humor zaprawiał je złością i coraz większymi bluźnierstwami, tak iż ostatecznie gospoda dniami i wieczorami pustkami świeciła.

Zły humor gospodarza coraz częściej i coraz gwałtowniej wybuchał i dawał się we znaki nie tylko domownikom, którzy uciekali z domu, robiąc miejsce innym, mniej uczciwym sługom, ale i sprzętom domowym, które w złości tłukł i niszczył, tak że szklarze, garniarze i stolarze świetne na nim robili interesa.

Gniew jego rozciągał się także na sąsiadów o to, że już do gospody jego nie uczęszczali; aby się więc na nich zemścić, rozpoczął z nimi procesa, które wszystkie przegrywał bo powody jego były naciągane, urojone i niesłuszne.

Kapitały tak bezpiecznie zahipotekowane już dawno pieniąctwo zjadło a wciąż jeszcze wyszukiwał powody, aby się z nienawidzonymi sąsiadami włóczyć po sądach.

Wreszcie rozpoczął olbrzymi proces z kilku gospodarzami od razu. Na ten raz chciał koniecznie wygrać i pokazać im, że majątkiem

swoim ich przewyższa i wszystkiego dokazać potrafi. Wyszukał najsłynniejszych adwokatów, wziął ich kilku od razu, a role i łaki chociaż nie poszły z wiatrem, zostały sprzedane, aby pokryć ogromne koszta tego procesu.

Biegli adwokaci zdołali proces przez kilka lat przeciągnąć, aż go ostatecznie przegrali; stało się to dla tego, że już nie było za co przeciągać, bo gospodarz sprzedał ostatni dobytek swój i był goły jak bizun.

W ten sposób został włóczęgą. Nieraz gdy w stanie opitym zaczął w gospodach po dawnemu bluźnić, wyrzucano go na ulicę, ztąd albo na nocleg uciekał do boru, albo też policya na nocleg zaprowadziła go do komórki.

Pewnego dnia znaleziono go, — ale już nie jego samego, tylko zwłoki jego wiszące na drzewie, na którym sam kres położył niewzruszonemu jego szczęściu — bez Boga.

## Juanilla.

Dziwne, zaprawdę, zdarzenie opowiadała nam stara donia (pani) Pepa pewnego wieczora Wielkiego tygodnia w Sewilii.

Wieczora tego oba balkony doni Pepy wyzierały na cizbę ludu, przesuwanego się węzłem nieskończonym po ulicy wąskiej. Balkony to stare, o balustradach z żelaza kutego, pokryte plamami rdzy i kwiatów szkarłatnych. Naprzeciwko nas, na innych balkonach, ozdobionych draperyami z aksamitu purpurowego, widniały dziewczęta piękne, o oczach wielkich i ustach rozkosznie wyciętych, ubrane czarno, w chusteczkach koronkowych, kokieteryjnie upiętych na szczycie główek, oczekując, tak jak my, na procesy.

Ruch gwałtowny tłumu, wrzawa przeciągła, po której dał się słyszeć suchy i przygłuszony łoskot bębnow, wreszcie szybkie uginanie kolan — zwiastowały zbliżanie się procesy.

Nagle gruchnęły dźwięki instrumentów mosiężnych orkiestry wojskowej, i ukazała się w obłokach dymu kadzidla tak bardzo czczona przez Sewilan — La Virgen de la Esperanza. (Najśw. Panna Hiszpańska).

Tłum rozentuzymowany krzyknął głosem wielkim: Viva la Virgen! (Cześć dziewczycy!)

Za posągiem Matki Bożkiej wlokły się poważne i skupione w sobie dwie kobiety bardzo młode, odziane w długie koszule białe, zamiatające bruk uliczny. Twarze obu okrywała bladeść śmiertelna, włosy rozpuszczone, zdawały się jeszcze czarniejsze na tle białem koszul, wychudłe zaś ręce dźwigały ciężkie gromnice płonące.

A skorośmy zapytali doni Pepy, pełni ciekawości niespokojnej, co znaczą te panny, odpowiedziała nam, westchnawszy:

— Są to amortajadas, dziewczęta, które zaprzysięgły w czasie choroby śmiertelnej, że jeżeli za wstawiennictwem Matki Bożkiej odzyskają zdrowie, to pójdą za Jej procesy w koszulach śmiertelnych. Jak panowie widzą,

dotrzymały obietnicy, jakkolwiek są jeszcze całkiem blade od śmierci, która się o nie otarła.

— Znałam jedną — dodała po chwili głosem smutnym — która nie dotrzymała obietnicy.

— Któż to taki? — spytaliśmy.

— Siostrzenica moja, Juanilla, zmarła przed laty dziesięciu. Najpiękniejsza dziewczyna w Sewilii i w całym kraju, którym opiekuje się Maria Santissima. Nie przebaczyła jej Matka Bozka!...

— Straszne to było, straszne! — szepnęła. — Juanilla rozpoczynała właśnie rok osiemnasty życia i z dniem każdym stawała się coraz piękniejsza. Powszechnie zwracano na nią uwagę, gdy zaś wracała z kościoła lub z plaży (plac spacerowy nad morzem), przechodnie, jak to jest u nas we zwyczaju, widząc piękność jej, wołali: Viva la grazia! Viva tua madre! (Cześć pięknej! Cześć jej matce!) a nawet nie jeden zachwycony rzucał jej sombrero (płaszcz) swoje pod nogi, aby po nim stapała... Wzrostu była wysokiego i posiadała włosy tak wspaniałe, czarne i długie, że możnaby z nich utkać płaszcz dla Matki Bozkiej.

Naręczony jej, Pedro, kochał ją szalenie. Ale ponieważ zaręczyn nie ogłoszono jeszcze formalnie, mogła przeto rozmawiać z nim tylko wieczorami przez okno zakratowane.

Na rozmowach tych spędzała godziny długie.

Pewnego poranka, pamiętam to, jak wczoraj, Juanilla rozgorączkowana i drżąca, o oczach mgłą przysłoniętych, nie mogła powstać z łóżka. Przyznała się nam, że wieczora ubiegłego rozmawiała długo przez okno z Pedrem, a noc była wilgotna i zimna. Zaziębiła się widocznie.

Nastaly dni smutne i męczące. Juanilla mizerniała szybko, majacząc w gorączce. Matka jej i ja kryłyśmy się po kątach, płacząc serdecznie na widok dziewczęcia, tak pięknego jeszcze niedawno, teraz zaś wychudzonego, majaczącego i zlewającego się potem febrycznym.

Lekarz nasz, poczciwy dr. Golondra, wiedział bez wątpienia, co to za choroba, ale nie mówił nam tego, jeno kiwał głową i za każdą wizytą zapisywał mnóstwo lekarstw. Juanilla zaś marniała i marniała w oczach naszych.

Wówczas to w całym domu rozległ się okrzyk jeden: La Virgen de la Esperanza musi ją uzdrowić, musi!

Umieszczono tedy na stoliku okrągłym, w pobliżu łóżka Juanilli umierającej posążek malowany Matki Bozkiej, wśród stosu kwiatów, przyniesionych przez Pedra, i otoczono stolik świecami płonącymi.

Gdy wszystko było gotowe, matka podeszła do chorej, dała jej gromnicę do ręki i kazała powtórzyć za sobą trzy razy:

— Matko święta, włosy me są długie i ciężkie, ale jeżeli mnie uzdrowisz, ślubuję obciąć je i złożyć na ołtarzu Twoim.

Wymówiwszy słowa przysięgi, Juanilla podniosła włosy rozpuszczone w stronę posążku Matki Bozkiej, jakby pragnąc pokazać Jej

wielkość ofiary swojej, poczem opadła na poduszki wyczerpana.

Gdy przyszła do siebie, czuła się lepiej. Nazajutrz gorączka zmalala, powoli wracały kolory na twarz chorej, a po trzech tygodniach Juanilla mogła powstać z łóżka. Tak, panowie, Matka Boska ją uzdrowiła.

Wyzdrowiawszy, Juanilla znów stała się piękna, piękniejsza nawet, niż poprzednio, cierpienie bowiem, jak ogień, oczyściło ją i uszlachetniło jej postać. Ze spełnieniem jednak ślubu, złożonego podczas choroby, wciąż się ociągała. Wydawał się jej snem chorobliwym, a zdrowie powracające rozpraszało go w uciechach tysiącznych.

Gdy matka mawiała:

— Jutro przyjdzie Miguel, fryzyer, i obetnie ci włosy — Juanilla wołała głosem czułym i błagalnym:

Mameita mia (mateczko moja), Pedro ma przyjść właśnie jutro. Pozwól niech mu się ukaże w całej piękności włosów swoich!

I cóż chcecie panowie. Matka słaba, kochająca córkę, ustępowała.

W głębi wszelako duszy siostrzenicy mojej musiały odzywać się wyrzuty sumienia, pewnej bowiem nocy, podczas snu, krzyknęła przerażona. Włosy, jak węże, owinięły się jej dokoła szyi, dusząc, a gdy usiłowała węzeł straszny rozluźnić rękoma, zdawało jej się, że słyszy głos jakiś w kącie pokoju.

Zerwała się tedy z łóżka, Włosy ciążyły i paliły strasznie. Chciałaby wyrwać wszystkie jednym zamachem, szukała nożyczek po omacku i wreszcie, lkając, padła znów na łóżko.

Skoro nadszedł poranek, biedna moja Juanilla nie mogła powstać z łóżka. Znadto ją zmęczyły przejścia nocne. Niemniej przywołano Miguela. Ale gdy się zjawił, nie chciał go przyjąć.

— Już i tak jestem ukarana — wołała. — Matka Boska przebaczy mi, że nie dotrzymałam Jej obietnicy, że chcę zachować piękność swoją!

Widocznie jednak ślub musiał być dotrzymany, bo włosy ciążyły Juanilli okropnie i, choć były tak suche, że trzęszczały przy czesaniu, zdawało się jej że zmoczono je wodą.

Ciężyły jej, jak wyrzuty sumienia a przytem nabrały czułości dziwnej, gdy bowiem dotykano się ich, skręcały się jak od bólu.

Na samą wszelako myśl rozstania się z nimi wzdrygała się dusza Juanilli.

— Jakto, za kilka słów, które kazano wymówić jej, gdy leżała niemal bez przytomności, miałby Miguel el Verdugo ściąć je nożycami, pozbawić ją ozdoby najpiękniejszej? Nie, nigdy!

— I stał się — szepnęła donia Pepa — cud okropny... Pewnego poranka zastaliśmy Jaunillę w łóżku nieżywą! Bujne sploty włosów okryły jej twarz, wdzierały się do ust, okręcały szyję... Umarła zaduszona... zaduszona włosami, nie należącymi do niej, bo ofiarowała je była Matce Bozkiej...

Donia Pepa umilkła, a oczy jej wilgotne skierowały się ku posążkowi Matki Bozkiej, przed którym migotało światelko lampki.